

N A S Z

W I D N O K R A



miesięcz
dzieżyli
krzemi



nik mło-
ceum ~
enieckiego.

Seweryn Malwa.

N O W Y R O K .

Zrodziłem się z przestrzeni i czasu,
idę do was przez pola zdaleka,
jeszcze kryję w ruchach ociężałość
i sen słodki w zmrużonych powiekach.

Z fal niebytu na tor praistnienia
boskie z światem popchnęły mnie dłonie ...
Brat mój skonał ... podążam radosny,
choć już wierzby szumią mi o zgonie ...

Umiem ogrom istnienia zgnieść w nicość,
choć mi cięży dziedzictwo stuleci ! ...
Chcą mnie wstrzymać strwożone Krezusy,
o przybycie proszą głodne dzieci.

Lecz omijam ludzi wciąż bez troski —
cóż, że komuś korona, łza spada?
Pracą moją — ludziom na przestrogę —
bicie młotem w wieczności kowadła ...

Nie wtykajcie mi beret do ręki,
ni w łachmany nie strójcie mnie dziada —
Jam jest dla was, ludzi, obojętny,
choć nocy z małuczkami gadam ...

Przy mym zgonie nie stójcie niepewni,
niech wam nie drży serce życiem chore —
Ja w odsetkach tylko to wam oddam,
co na progu kładliście w mój worek.



EMBE.

KRZEMIENIEC a. WILNO.

Jedną z najpiękniejszych kart dziejów kultury polskiej i polskości na kresach wschodnich jest okres rozkwitu uniwersytetu w Wilnie, a Liceum Wołyńskiego w Krzemieńcu, okres, w którym ogół społeczeństwa, oszołomiony wypadkami politycznymi, rozgrywającymi się na terenie ziem polskich, zmuszony został ulec przemocy zaborców. Lecz ducha polskiego nie zabito—przeciwnie, żył on w narodzie i potężniał pod wpływem szlachetnych hasła, płynących z dusz wielkich ludzi. Kuźniami ducha polskiego w owym czasie było Wilno i Krzemieniec. Z czasem oba miasta stały się ośrodkami, na które zwrócone były oczy całego społeczeństwa kresowego. Już od lat najdawniejszych, zarówno Krzemieniec jak i Wilno, jako leżące bliżej wschodnich ziem polskich, narażone były na niedole, jakie niosły ze sobą nawałnice, płynące ze wschodu i ten stały opór, jaki stawić musiały, wykuli w nich ducha męznego, żelaznego.

Znaczenie Wilna oceniono bardzo dawno, a w okresie panowania niezapomnianego Batorego zwrócono specjalną nań uwagę i staraniem króla założono tam uniwersytet. Lecz dopiero okres porozbiorowy przyniósł historii wileńskiego zakładu świetne blaski. Mając za sobą piękne tradycje, Wilno skupiło na uniwersytecie swym ludzi najświetlejszych w kraju, opróśmionych sławą, jak: Śniadeccy, Grodecki i inni uczeni tego okresu. Na czele uniwersytetu w tym czasie stał t. zw. „Komitet szkolny uniwersytetu“, złożony z ludzi światłych, znających psychikę narodu polskiego i dążących do uleczenia tych wad, które stały się przyczyną zguby narodu. W wieku XIX, kiedy kuratorem zostaje Czartoryski, człowiek mający wybitne wpływy na dworze rosyjskim, uczelnia wileńska staje na szczycie zadania. Promieniając oświatą na całą Polskę, zakresem swych wpływów obejmuje także Podole, Ukrainę i Wołyń.

Wśród licznych szkół powstałych na terenie Wołynia, na specjalną uwagę zasługuje Gimnazjum Wołyńskie, późniejsze Li-

ceum Krzemienieckie, którego założycielem był T. Czacki, ówczesny wizytator tych ziem. Szeroko zakreślona jeszcze przez Komisję Edukacji Narodowej idea oświaty i wychowania znalazła wyraz w ustroju liceum. Program zakładu, zakrojony na wielką miarę, organizacją przypominał nieco Akademię Zamojską, jednak pod względem ideowym sięgał daleko dalej. Czacki, chcąc odrodzić moralnie naród, pracę swą zaczynał od podstaw, od ukształtowania młodych dusz tych, którzy mieli później stanowić społeczeństwo. Liceum miało stać się centrum życia południowo-wschodniej Polski i w tym celu Czacki stara się powiązać życie zakładu z życiem starszego społeczeństwa, któreby ulegało wpływom, idącym z liceum.

Na to jednak, by urzeczywistnić swe plany, by wykuć w młodzieży ducha niezłomnego, trzeba było ludzi o świątłych umysłach i pięknych duchach.—Takich ludzi zdobywał zewsząd dla Krzemieńca Czacki, o takich ludzi starało się i Wilno. Między Krzemieńcem a Wilnem nierzadkie były wymiany sił profesorskich, to też w krótkim czasie oba miasta zespoliły się, stały się niemal jednym organizmem. Malutki i cichy Krzemieniec zawrzał nowym życiem, pulsującym ze zdwojoną siłą, nic więc dziwnego, że w krótkim czasie, wydając ludzi świątłych i skupiając naokół siebie młodzież kresową, stał się rywalem Wilna, jak to zaznaczył w słowach, zwróconych do Czackiego, ówczesny rektor wileński, Śniadecki, mówiąc: „Wydałeś JWP. uniwersytetowi wileńskiemu walkę cichą, a tajemną, potrzeba ją zrobić głośną, otwartą i zapewnić sobie zwycięstwo“.

Lecz ową nić, łączącą Krzemieniec i Wilno, z biegiem czasu zaczęły targać nieporozumienia, wynikające na tle rywalizacji między obu zakładami. Krzemieniec, podlegający Wilnu, musiał nieraz na korzyść uniwersytetu pozbywać się znakomitych sił pedagogicznych, co było zjawiskiem wysóce zaszczytnem dla liceum, niemniej jednak szkodliwem dla jego rozwoju, podkopywało bowiem siły zakładu, tamując jego rozwój. Mimo to jednak, Krzemieniec i Wilno związane były wspólnymi węzłami zarówno w sprawach finansowych, jak i samorządowych. Tak w Krzemieńcu, jak i w Wilnie, funkcjonowała „Komisja Sądowo Edukacyjna, zadaniem której było staranie się o podstawy materialne,

potrzebne dla rozwoju szkolnictwa, które miała przynieść likwidacja dóbr pojezuickich.

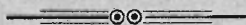
Projekt utworzenia tej Komisji podany przez Czackiego, a zaakceptowany przez rząd rosyjski w dniu 7/XII 1807 roku, wszedł w życie. Był to okres najświetniejszego rozkwitu liceum, którem niedługo mógł się cieszyć twórca jego, Czacki bowiem w roku 1813 w Dubnie umiera. Opustoszały po nim Urząd obejmuje Plater, człowiek bardzo światły i głęboko miłujący Ojczyznę, zbyt jednak młody i niedoświadczony, by podołać, tak odpowiedzialnej pracy, to też uczelnia krzemieniecka, pozbawiona silnej ręki, która nią kierowała, z biegiem czasu coraz bardziej ulegała wpływom uniwersytetu.

Zbliżał się jednak okres tragiczny i dla Wilna. Nowosilcow objawszy rządy na Litwie, śledził z nienawiścią działalność oświatowo-narodową młodzieży uniwersyteckiej, a natrafiwszy na ślad związku Filomatów i Filaretów, przeprowadza swój nieczyny plan wytępienia polskiej kultury i polskiej szlachetnej myśli na kresach. Echa tych zająć odbiły się i na Krzemieńcu, gdzie pod przewodnictwem profesora Jentza utworzył się odłam Filomatów wileńskich. I tu zaborca nie przebaczył działalności młodzieży. Były to niejako ostatnie wysiłki życia polskiego na kresach. Rząd rosyjski, zaniepokojony działalnością polską na Wołyniu i Ukrainie, zamyka cały szereg szkół polskich. Liceum jednak uniknęło tego losu, mimo iż ograniczono jego działalność i wpływy, nasyłając profesorów i przełożonych, taki stan trwał aż do roku 1832.

Rok ten był katastrofalnym dla szkolnictwa polskiego. Po upadku powstania, rząd rosyjski mścił się w nieludzki sposób nad wszystkim, co tylko nasuwało myśl o niełojalności względem siebie. Niszczył wszelkie objawy kultury i cywilizacji, chcąc zabić polskość. W okresie tym, losu przeznaczanego przez rząd rosyjski, nie uniknęło ani liceum, ani uniwersytet wileński. W 1832 zamknięto oba zakłady. Biblioteki i środki pomocnicze z liceum, rząd zaborczy wywiózł w głąb kraju, do Kijowa, niszcząc w barbarzyński sposób owoce długiej pracy i wysiłek ludzi światłych. W Wilnie pozostawiono tylko wydział medyczno-chirurgiczny,

nastąpiło więc zupełne zerwanie węzłów, łączących dwa bratnie sobie miasta: Wilno i Krzemieniec.

Lecz dziś, gdy znów zajaśniała wolność na naszych ziemiach, gdy Uniwersytet Wileński się odrodził i Liceum Krzemienieckie pracą swą rozpoczęło, odmienną rozumie się od dawnej, wskutek zmienionej polskiej rzeczywistości, nasuwają się myśli, by nawiązać do świetnej tradycji, by węzłami łączyć się znów z pięknem, kochanem naszym Wilnem!



Wala Romanówna.

MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA.

(z opowiadań miejscowej ludności).

Na wyżynie Pelczańsko - Mizockiej, prawie w samym jej środku, wśród zieleni, ogromnych lasów, po obu stronach drogi, rozsiadło się dwadzieścia kilka zagród gospodarczych. Sympatyczne białe domki, otoczone zielenią sadów i zabudowaniami gospodarskimi, robiły miłe wrażenie na podróżniku swoją schludnością i czystością, tembardziej, że słyszało się tu mowę polską, polskie imiona i nazwiska. Otoczona ruskimi wsiami istnieje tam z dawien dawna polska kolonja Dłużek.

Wiele ucisku znieść musieli mieszkańcy wsi podczas panowania caratu ale najcięższe czasy nastały podczas trwania inwazji bolszewickiej. Bandy bolszewickie już zda się wystraszone przez wojska polskie, wpadały nagle do kolonji, dokonywując rabunku, uprowadzając gospodarzy wraz z dobytkiem. Musiano cierpieć... Ostatnim i najgorszym rokiem dopustu Bożego był rok 1921.

Zdawało się, że już przyszedł kres cierpień, ludność odetchnęła swobodnie, gdyż dookoła w promieniu jakichś siedmiu kilometrów obozowały oddziały polskie. Upały sierpniowe dawały się we znaki. Dzień był pogodny, słoneczny, zboże żęte z pnia stało w małych kopicach na polu, gdyż w obawie przed spalaniem, nie zwożono je do wsi. Minęło południe, gdzieniegdzie

w polu kobiety brały się do wiązania jęczmienia. Cicho było i zda się spokojnie. Gdy wtem nagle, jak grom z jasnego nieba, zjawił się wśród wsi oddział bolszewicki.

W kolonji powstał rwetes, moskale z czerwonymi gwiazdami na papachach zaczęli szperać po chatach i stodołach. Na ulicy gromadzili się gospodarze, kobiety umykały z pola, tuląc przestraszone i płaczące dzieci.

Naraz na drodze za wsią ukazał się krasnoarmiejec, prowadzący jakiegoś młodego mężczyznę, niskiego wzrostu, bez butów i czapki, a tylko w bieliźnie. Podarta koszula ukazywała nagie ciało, twarz jego była mimo to pogodna i spokojna. Moskał idący obok z tryumfem, niósł w ręce buty i widocznie tylko co ściągnięte ubranie, w którem to mieszkańcy poznali mundur żołnierza polskiego. Jakim sposobem i gdzie ten bandyta wynalazł polskiego żołnierza, niewiadomo. Gdy para ta mijala ostatnie chaty kolonji, krasnoarmiejec zwrócił się do stojących obok studni gospodarzy, wołając: „Iditie siuda, uwiditie, czto ja siejczas zdielaju z etoj sobakoj“. Nikt się nie ruszył, koloniści przygnębieni tym widokiem, powlekli się ku swoim mieszkaniom. Za chwilę wracał ów dziki bandyta. Uśmiech nie zatarł się z jego twarzy, z tryumfem ocierał krew z szabli, wsuwając ją do pochwy. Ujrawszy przed jedną zagrodą staruszką i stojącą obok niego młodą kobietę, zawołał doń: „Starik — idi ubieri, zaroj etu sobaku“. Nie wiedząc nic o zajściu, mając przed chwilą miejsce, staruszek łekliwie zapytał: „Jaka sobaka?“ — „Da, czto nie znajesz, wied' ja tolko czto ubił — wot tam“ i wskazał ręką na leżące o kilkaset kroków ciało żołnierza polskiego.

Po kilku godzinach oddział bolszewicki powlókł się dalej. Gdy słońce już się skryło za lasem, na drodze ukazał się jeden z gospodarzy, niosąc łopaty w rękę. Na rozdrożu o sto kroków od wsi, na pagórku, wykopał dół i wziawszy do pomocy brata, poszedł w kierunku nieszczęsnej ofiary. Okropny, duszę rozdzierający widok, ukazał się ich oczom... Z rozstrzaskaną napół głową, z rozbryzganym mózgiem po roli, posiekany na drobne kawałki, obłany własną krwią, leżał żołnierz polski. Złoczyńca,

znęcając się nad swoją ofiarą i uważając, że ciosy, zadawane szablą, są zbyt słabe, kilkakrotnie strzelił doń z karabinu.

Z trudem udało się złożyć te szczątki na dwie deski i przenieść do owego dołu. I oto niebawem, przybyła jeszcze jedna mogiła, jeszcze jedno młode życie padło ofiarą za Polskę.

Minął miesiąc, nadeszła jesień, bandy odeszły daleko na wschód, a na mogile, poroślej trawą, koloniści postawili krzyż dębowy z napisem: „Tu leży żołnierz polski—nieznany“.

I dziś ta mogiłka wsnosi się na wzgórzu, wśród rozstajnych dróg, każąc przechodniom pochylić czoło.

Mogiłką ową opiekuje się dziatwa szkolna, sadząc kwiaty, pilnując porządku w tym ostatnim przytułku naszego rodaka. Niejedno serce dziecięce, szepcząc słowa modlitwy, błaga Stwórcę o spokój dla duszy poległego tam męczennika.

Kol. Dłuzek 30/XI. 1929.



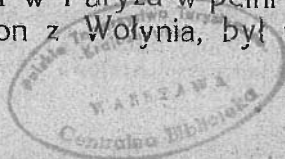
Włodan.

NIEWYZYSKANE TESTAMENTY.

Pod tym tytułem w 51 zeszytce „Tęczy“ z dnia 21 grudnia 1929 r. ukazał się artykuł pióra Stanisława Pigionia, w którym autor omawia sprawę niewyzyskanych po dziś dzień testamentów wielkich Polaków-emigrantów, którzy tęskniąc za straconą ojczyzną, widzieli ją w przyszłości wprawdzie dalekiej, lecz mocną i aureolą sławy otoczoną--i dla tej Przyszłej oraz dla zadokumentowania tego wewnętrznego przeświadczenia, że Polska tylko na chwilę z oblicza ziemi zniknęła, przekazywali swe, moralną pracą zgromadzone zbiory naukowe i kwoty pieniężne.

Nas szczególnie powinien zainteresować następujący ustęp wspomnianego artykułu:

„Dnia 15-lipca 1837 r. zmarł był w Paryżu w pełni młodości, Karol E. Wodziński. Pochodził on z Wołynia, był uczniem



Liceum Krzemienieckiego; w r. 1831 był najwpierw partyzantem w puszczy białowieskiej, potem służył w 1 p. Krakusów. Na wychodźstwie był skarbnikiem („podskarbm”) Komitetu Narodowego Emigr. Pol. pod Lelewelem. Wykształcony, trochę literat (zostawił m. i. drukowane wrażenia z podróży po Europie, w rękopisie, francuski przekład „Pana Starosty” Skarbca), młodzieniec o sercu czystem, umyśle subtelnym, w chorobie (suchoty) wobec nieuchronnej przedwczesnej śmierci dorabiający się pogody ducha zyskał on rychło przyjaźń Mickiewicza, który go też w ostatnich latach życia pielegnował troskliwie, jak ongiś Garczyńskiego.

Z rozmów prowadzonych z Mickiewiczem zostawił Wodziński nieco notatek, świadczących o wysokiem strojeniu ich wzajemnego stosunku.

Otóż Wodziński, podobnie, jak potem Lelewel, umierając pamiętał o zakładzie naukowym, w którym się kształcił w młodości, do którego serdecznie się—widać—przywiązał i o którym nie wątpił, że wskrzeszony zostanie w wolnej Polsce; zbiory więc zapisał przyszłemu, wskrzeszonemu Liceum Krzemienieckiemu. Czytamy o tem wyraźnie w jego nekrologu: „Pisma emigracyjne, które starannie zgromadził, zapisał na rzecz Towarzystwa Naukowej Pomocy z warunkiem, aby po wskrzeszeniu Polski przeszły na własność biblioteki Szkoły Głównej Wołyńskiej”¹⁾,

Zapomniano o tym testamencie całkowicie. Ale dziś czas przypomnieć i zapytać: czyż ten legat wiary w niepodległość ma marnieć? niedopuszczalne! Nie należy, aby Liceum Krzemienieckie z niego zrezygnowało. Wiadomo przecież chyba w Paryżu, co się stało ze zbiorami po Tow. Naukowej Pomocy. Depozyt Wodzińskiego został w nich niewątpliwie jakoś odróżniony. Odzyskanie go przez naznaczonego spadkobiercę nie powinno natrafiać na trudności. Właśnie dlatego, że przewieziony do Liceum, będzie on tam realnem świadectwem niezachwianej wiary w Polskę, zarazem świadectwem ujmującej wdzięczności ucznia, którego pamięć w szkole tej powinna być przekazana młodemu pokoleniom.

¹⁾ Wiadomości Krajowe i Emigracyjne, Paryż 1837, № 17 z dn. 21 lipca.

W. D.

NA „EMIGRACJI“.

Siedm bitych miesięcy upłynęło już od chwili, kiedy „zdaw-
szy“ ową tak wyczekiwaną maturę, rozeszliśmy się po świecie,
a dokładniej po Polsce, aby przed ludem, „nieść oświaty kaga-
niec“. Jednakże, nie pogubiliśmy się wzajemnie i nie rozlecieliś-
my się zupełnie na zawsze, jak się to zresztą z każdą maturą
zwykle zdarza.

Już w czasie poznańskiej wycieczki zastanawiano się nad
tem, jak utrzymać nadal duchową łączność i koleżeńskie współ-
życie. Rezultatem tego było posiedzenie organizacyjne, które
odbyło się w mieszkaniu pani Falkowskiej w Warszawie
w dniu 4 lipca 1929 roku. Na zebraniu tem między innemi uch-
walono: zorganizować zjazd koleżeński w czasie feryj świątecz-
nych. Bożego Narodzenia w Liceum, częściej organizować zjazdy
tych koleżanek i kolegów, którzy pracować będą blisko Krze-
mieńca, w czasie wakacyj letnich 1931 urządzić wspólną wyciecz-
kę w Tatry, a częściej urządzać wycieczki bliskie. Rolę tymcza-
sowego zarządu polecono spełniać „Centrali Koleżeńskiej“ do
której powołano kol. Woźniakowską Wandę, Żółkiewskiego Wła-
dyśława i Grodzickiego Michała. Przewidując „kryzysy budżeto-
we“ dopiero—co przystępujących do pracy nauczycieli zorgani-
zowano przy centrali sekcję wzajemnej pomocy materjalnej. Po
powrocie do Krzemieńca na zakończenie i pożegnanie urządzi-
liśmy wspólną, pięciodniową, pieszą wycieczkę do kolegi Duliby
w Surazu.

Po krótkim dwumiesięcznym odpoczynku rozpoczęła się no-
wa praca, zupełnie odmienna od dotychczasowych zajęć szkol-
nych. Część koleżanek i kolegów stanęła odrazu do pracy na-
uczycielskiej, część zaś kolegów znalazła przytułek w wojsku.
Dla większej dokładności oraz w celu informacyjnym podaję
wszystkie adresy:

NAUCZYCIELSTWO:

- 1) kol. Banasiewicz Jan—Mogilnica koło Warszawy.
- 2) „ Bałysz Aleksander—Hołybisy, poczta Szumsk k/Krzemieńca..
- 3) „ Burlewiczówna Janina—Bychowa woj. Lubelskie (adres domowy).

- 4) kol. Braszczyńska Helena—Radomsko ul. Św. Rozalji 44.
- 5) „ Bortniczuk Bazyli—Nowosiółki pocz. Maciejów pow. Kowel. (domowy)
- 6) „ Danilczuk Włodzimierz—Turkowiec pocz. Werba skr. pocz. 8 p. Dubno
- 7) „ Dąbrowska Jadwiga—Bryszcza pocz. pow. Dubno.
- 8) „ Duliba Mikołaj—Chodaki pocz. Szumsk k/Krzemieńca.
- 9) „ Dziadowiczówna Genowefa—Stecki pow. Stołpce woj. Nowogródek.
- 10) „ Garczyńska Felicja—Toreszów pocz. Ostrożec pow. Dubno.
- 11) „ Grodzicki Michał—St. Oleksiniec k/Krzemieńca.
- 12) „ Iwanichówna Jadwiga—Dobratyn gm. Młynów pow. Dubno.
- 13) „ Komedjant Dawid—Począjów k/Krzemieńca.
- 14) „ Komorowska Janina—Począjów k/Krzemieńca.
- 15) „ Korb Zbigniew—Łosiatyn pocz. Począjów pow. Krzemieniec.
- 16) „ Łańcucka Izabela—Gradki gm. Sudobicze pow. Dubno.
- 17) „ Markowska Genowefa—Ostrów pocz. Tysłuków pow. Dubno.
- 18) „ Pacoszanka Jadwiga—Kniahinin pocz. Demidówka pow. Dubno
- 19) „ Polkowska Jadwiga—Biuro architektów rejonowych Pińsk.
- 20) „ Romanowówna Walentyna—Dłużek pocz. Werba, pow. Dubno.
- 21) „ Ziołowska Helena—Borki pow. Krzemieniec.
- 22) „ Zółkiewski Władysław—Płaszowa gm. Tysłuków pow. Dubno.
- 23) „ Woźniakowska Wanda—Ptycza pocz. Werba skr. 24 pow. Dubno.
- 24) „ Wołkowicz—Pawłowicz Stanisław—Duże Folwarki k/ Krzemieńca.
- 25) „ Zarębski Karol—stara się o posadę w K. O. S. krakowskiego.

W O J S K O :

- 1) kol. Głogolski Józef—Szkola Podchorąż. Rezerwy kawalerji Grudziądz.
- 2) „ Kulikowski Wojciech—Szkola Podchorąż. Rezerwy Artylerji bat. 7. Włodzimierz Woł.
- 3) „ Minkacz Aleksy—Szkola Podchorąż. Ostrów—Kamarowo
- 4) „ Pacocha Władysław—Szkola Podch. Rez. Piech. Srem k/Poznania
- 5) „ Sobczuk Antoni
- 6) „ Buczek Kazimierz | „Baon Podchorążych Rezerwy Piechoty”
- 7) „ Przybylik Jan | Nr. 2. Tomaszów Lubelski.

BEZ SAMODZIELNYCH POSAD:

- 1) kol. Czyżewska Helena—Lwów uniwersytet.
- 2) „ Gruszevska Leokadja—Krzemieniec skr. pocz. 32.
- 3) „ Janiszewska—Pietraszewska Helena—Włodzimierce Żórawno n/d Dniestrem.
- 4) „ Zassówna Janina—Krzemieniec—Liceum—Seminarjum.
- 5) „ Strójwłasówna Eugenia—Pomocnicza Składnica Inżynierji. ul. Podskarbińska,—Warszawa—Praga.
- 6) „ Bergerówna Estera—Krzemieniec, Liceum, Gimnazjum.
- 7) „ Kucharska Marja—Krzemieniec Liceum Seminarjum.
- 8) „ Baczyński Jan —

Pierwsze kroki na niwie nauczycielskiej nie szczędziły nikomu niespodzianek więcej lub mniej nieprzyjemnych. Wszystko tu było dla nas nowe i nieznane, a o poradę dobrą i pomoc

koleżeńską trudno! Stąd tęsknota za Krzemieńcem, koleżankami i kolegami oraz samorzutne próby silniejszego złączenia się w jedną całość. Konferencje rejonowe i powiatowe oraz święta ułatwiały nam spotkania, na których dzieliliśmy się wrażeniami, troskami i obdzielaliśmy się wzajemnie najrozmaitszemi „zbawien-nemi radami“, pochodzącemi z „własnej praktyki“. Wtedy dopiero, kiedy rozrzuceni po olbrzymim obszarze, obarczeni pracą, do której nie zawsze właściwie się zabierało, pozbawieni widoku przyjaznych i szczerych twarzy koleżanek i kolegów z „budy“, zrozumieliśmy i odczuliśmy dokładnie, jakie korzyści ma dalsze utrzymywanie łączności i czem były dla nas ostatnie lata pobytu w Liceum.

Chociaż z Liceum wyszliśmy już nazawsze i tylko jako go-ście możemy odwiedzać prastare mury Czackiego, jednak tam się rwą zwykle nasze myśli i wspomnienia, stamtąd czerpie się moc i otuchę do nowych, ciężkich często poczynañ, Liceum nadal jest duchową naszą siedzibą—a my niczem innem, tylko emigracją.

Stosownie do uchwały z dnia 4 lipca 1929 r. „Centrala“ zorganizowała zjazd na dzień 31 grudnia 1929 r. i 1 stycznia 1930 r. Mimo niedogodnego terminu nie przyjechało na zjazd tylko kilka osób. Przyjęci serdecznie przez Zarząd Liceum i ulo-kowani w internacie, z przyjemnością przypominaliśmy i rozpa-miętywaliśmy niedawne „sztubackie“ życie na tle opowiadań o dzisiejszych warunkach życia nauczyciela na wsi i żołnierza w wojsku.

Dnia 31 grudnia o godzinie 13-ej odbyliśmy wspólny spacer na dworzec kolejowy w celu spotkania inicjatorki zjazdu i wychowawczyni, pani prof. J. Falkowskiej. Na wieczornem ze-braniu b. wójt starym zwyczajem odczytał listę obecności z tą tylko różnicą, że każdy obecny na zebraniu zamiast nic niemó-wiącego słowa „jest“ podawał swój adres, zajęcie, troski, niedo-magania i dobre strony życia, stan rodzinny, zamiary na przy-szłość. Po wieczery udaliśmy się na zabawę sylwestrową urzą-dzoną przez Liceum.

Nazajutrz t. zn. 1 stycznia, po nabożeństwie w kościele li-cealnym, odbyło się posiedzenie zjazdowe, na którem rozpatrzy-

liśmy cały szereg spraw z różnych dziedzin. Posiedzenie zaszczylił swą obecnością pan Dyrektor Fr. Hilczer.

Przedewszystkiem, stwierdzono jednogłośnie potrzebę dalszej łączności a nawet wzajemnej współpracy w dziedzinie dalszego samokształcenia się jak również w dolach i niedolach codziennego życia na wsi. W dyskusji nad temi zagadnieniami pan dyrektor Hilczer udzielił nam bardzo cennych wskazówek, dotyczących przygotowania się do kwalifikacyjnego egzaminu, zaznaczając, że książki do tego celu można wypożyczyć z Bibliotek licealnych. Przyjęliśmy to oświadczenie z wielką radością, bo zdobycie dobrej książki należy u nas (z braku gotówki) do najtrudniejszych rzeczy. Na wniosek kolegi Danilczuka stworzono „Poradnię koleżeńską” składająca się z kol. Wandy Woźniakowskiej i Włodzimierza Danilczuka (pocz. Werba skrzynka pocztowa Nr. 8 lub 24 pow. Dubno), zadaniem której będzie udzielanie porad, dotyczących różnych spraw z pracy nauczycielskiej.

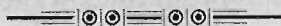
Uchwalono też, aby częściej organizować zjazdy koleżanek i kolegów z powiatów krzemienieckiego i dubieńskiego. Wyznaczono pierwszy zjazd na 2 lutego 1930 (godz. 10-ta), na którym kol. Danilczuk ma wygłosić referat o metodach, stosowanych w szkole powszechnej w Turkowiczach.

W końcu rozpatrzono sprawę wycieczki tatrzańskiej w 1931 roku, zaprojektowano urządzenie wycieczki na Podole w czasie feryj letnich 1930, załatwiono sprawę fotografii maturalnych i nadano naszej organizacji nazwę „Ósmy Wyraj”. Dane, dotyczące naszego życia, postanowiliśmy umieszczać w „Naszym Widnokregu”, zobowiązując się go prenumerować. Tegoż dnia: po wspólnym obiedzie w internacie żeńskim odbyło się drugie zebranie, na którym kolega Bałysz referował temat: „Teoria i praktyka szkolna”. Tezy tego referatu pobudziły zebranych do bardzo żywej dyskusji, w której każdy z obecnych charakteryzował swoje poczynania i wyniki. Z tych licznych przemówień widać było, że trudności, spotykane w pracy, nie tylko nie napawają goryczą i nie sieją wątpliwości, lecz odwrotnie, wzmacniają zapał, energję i stają się doskonałym drogowskazem na przyszłość. Na tem zjazd zakończono.

Uczestnicy Zjazdu jeszcze raz tą drogą wyrażają serdeczne podziękowanie zarządowi Liceum oraz P. P. Profesorom za serdeczne i życzliwe przyjęcie, jakiego doznali w czasie Zjazdu.

Turkowicze 19-I. 1930 r.

„Ósmy Wyraj“.



Irena Sandecka.

N A S Z E Z U C H Y .

Przechodzień, wędrujący wąwozem o pięć minut drogi od znanego krzyża na Osowicy, jednej z pierwszych niedziel grudnia bezśnieżnej jeszcze i słonecznej, mógłby zauważyć ciekawe zjawisko. Wśród lasu, na polanie, zieleniejącej tu i ówdzie szerokimi plamami mchu, stoi... lilipucia wieś. Domki zbudowane z mchu i patyczków, zastosowane do potrzeb każdego szanującego się krasnoludka, posiadają drzwi i okna, kominy, łóżka, ba-nawet firanki, dywany i schody. Naokoło domków z płotami, bystre oko dostrzeże huśtawki, studnie i wiele innych ciekawych i pożytecznych rzeczy. Przechodzień patrzy zdumiony i ogląda się, czy nie ujrzy tęczowych wrót krainy baśni... Któż wznosił te półłokciowe budowle?—ludzie, czy krasnoludki?!—Jedno i drugie!—odpowie wtajemniczony—Na leśniej polanie bawiła właśnie niedawno Gromada Zuchów, której godłem—strażnik ukrytych w ziemi skarbów: Krasnoludek. Na wzór tego budowniczego podziemnych korytarzy, nierównanego bajczarza, zwinnego tanecznika, opiekuna zabłąkanych w lesie sierotek i wogóle przyjaciela całego świata roślinnego i zwierzęcego, zuchy muszą umieć budować z przygodnego materiału misterne pałace, opowiadać kolorowe bajki, zręcznie wykonywać tańce Gromady, żyć za pan-brat z drzewami, zwierzętami i ptactwem. Te umiejętności, oraz wiele innych, jak pomaganie w domowym gospodarstwie mamusi i t. d. i t. d., stanowią nieodzowny warunek posiadania gwiazdki zuchowej.

Już od roku „rusza się“ w Krzemieńcu przy hufcu harcerskim Zuchowa Organizacja, wsławiająca się od czasu do czasu

walecznymi imprezami, Dzisiejsze drużynowe i zastępowe harcerskie przypominają sobie te dawne czasy, gdy jako beztroskie „Wilczki“ (nazwa „Zuchy“ rozpowszechniła się dopiero w 1925-26 roku) baraszkowały pod okiem „Starej Sowy“ d-ny Lusi Woszczatyńskiej, pierwszej drużynowej Gromady. Od tych czasów historia Gromady obejmuje niezliczoną ilość chwil pięknych, czasem smutnych.

Ustala się regulamin: święto rozpoczęcia i zakończenia roku zuchowego, święta czterech pór roku, choinka, uroczystość Krasnoludka, rozdania I-szej, II-giej i III-ciej gwiazdki i inne, z bogactwem przedziwnych obrzędów. Dzięki funduszom z pięknego przedstawienia zuchów (Sąd Królewski w Słowiczej Dolinie), urządzonego w październiku 1927 r., stara, pocziwa „Gilotyna“, autobus licealny, zawiózł 12 chłopców i 20 dziewczynek w dzień Zielonych Świątek na kolońję zuchową do Smęgi. Długie i pełne wrażeń były te dwa piękne dni. Dla niektórych była to pierwsza rozłąka z mamusiami—ale nie miały czasu o tem myśleć. Nowym był nocleg w Domu Ludowym na sianie (chłopcy spali w stodole), potem radzenie sobie we wszystkim, i cały dzień jeden i drugi wśród prześlicznych lasów smyskich. Wiele zuchów zdobyło wtedy II-gą gwiazdkę. Wszystkie zuchy były pełne zapału i zachwytu.

We wrześniu 1928 r. nasze zuchy brały udział w Zlocie harcerskim w Łucku i widziały Wystawę Wołyńską. W tym roku urządziły kilka przedstawień dla dzieci szkoły ćwiczeń m. in. na uczczenie 10-olecia niepodległości, obrazek sceniczny p. t. „Wieszczka Rocznica“. Jednocześnie każda prawie słoneczna niedziela jest witana przez długi a roześmiany pochód w góry marszerujących ze śpiewem szeregów. Tam otwiera się szeroko zakłęte państwo tajemnic i cudów. Ich świat! Zuchów i krasnoludków!

Czem wytłumaczymy zjawisko, że mimo odpływu starszych zuchów od harcerstwa, z każdym rokiem powiększa się gromada: zapisanych jest do niej około 80-rga dzieci ze szkoły ćwiczeń i szkół powszechnych, a przybywają wciąż nowe? Weźmy moment z zuchowego życia.—

Rozpoczęcie roku:

— „Nazywam się Jaś. Jestem Zuchem z Krzemienieckiej Gromady, imię me brzmi: „Krokodyla paszcza“. Prawda, że piękne?—zostało zatwierdzone na „próbie odwagi“, wśród wielu tajemniczych obrzędów (Księga Gromady: Regulamin). Był rozkaz, aby stawić się punktualnie o godzinie trzeciej na zbiórkę, jeśli nie będzie deszczu... Nie będzie! Jest ciepło, złoto w powietrzu. Niebo bez chmurki. Aha! Mam zabrać ze sobą trochę wiórów.—Napewno będzie ognisko! „Mamusi, proszę o obiad! Nie wolno na zbiórkę przyjść bez obiadu. Ma być wielka gra i różne niespodzianki. Mamusi, mamusi, bo się spóźnię!“—Dobra mamusia pozwoliła mi zjeść obiad przed wszystkimi i teraz nie jestem już Jasiem, ale „Krokodylą Paszczą“ i pędzę na skrzydłach radości na boisko przed gimnazjum (miejsce zbiórki). Tu na belkach baraszkują już od godziny: „Rączy Jeleń“, „Smocza Brew“, i wiele innych dzielnych zuchów. Schodzą się coraz nowi. Jeden zuch przyniósł cały plecak wiórów, inni mocne kije—może się przydadzą.

Zjawia się druhna. Ustawiamy się w dwuszeręgu. „Krokodyla Paszczo!“—mówi druhna—„poprowadzisz starsze gromadki na koniec górnego boiska. Stamtąd zaczniecie poszukiwania. Czerwony znak wskazuje drogę do celu.“—W to nam graj!—Wyruszamy ze śpiewem.—Zbiegają się dzieci i pytają, dokąd maszerujemy objuczeni chróstem i drewienkami, niby drwale—My nie! Maszerujemy, aż się kurzy. Dopiero w parku zaczęły się poszukiwania. Pierwszy „Oko Księżycy“ wśród wielkiej kępy drzew dostrzegł mały, czerwony znaczek, wetknięty w korę. Nagle ja zobaczyłem drugi i trzeci. Ruszyliśmy, jak wicher i co chwila ktoś znajdował znak a reszta pędziła w tym kierunku. Przypadłem pierwszy do muru, w którym tkwił ostatni znak—i nagle Marysia zobaczyła na ziemi duży kwadrat ze strzałą. W kwadracie cyfra 3—+. Wiemy, co to znaczy!—Odmierzyłem trzy potężne kroki. Przedemną pudło zielone na śmieci... Ach! Zosia porywa leżący na ziemi list i pędzi na dół. My za nią całą gromadą na łeb, na szyję! Musieliśmy zrobić wielki rumor, bo wrony podniosły się z drzew z głośnym krakaniem... W połowie drogi zatrzymała nas druhna. „No, coś przeczytaliś-

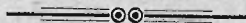
cie w liście ?” — Aha, racja, nie otwieraliśmy go wcale. Dopiero Zosia z namaszczeniem rozrywa pieczęć: „Przeleźć przez mur. Iść dalej po znakach. Powodzenia w grze. Pamiętaj!”

Gromada już pod murem. Nic to, że mur wysoki, a zuch niski. Damy sobie radę. Zuch jest dzielny (Księżą Gromady: Praw).—Razem z „Kopytem Żyrafy” opieramy o mur kije, które przynieśli chłopcy. Jak po drabinie drapiemy się w górę. Z drugiej strony muru stoi prawdziwa drabina. Dziewczynki ustawili śmieciarkę, na niej kamienie i włożą, pomagając sobie wzajemnie. Ciężka ta przeprawa zajmuje nam sporo czasu, to też kierując się po znakach nie my pewsi ujrzelśmy... krasnoludka, który wdzięcznym gestem zapraszał wszystkich do „Koła uroczystego”.—Uprowadziła nas młodsza gromadka, tropiąca ulicą Słowackiego.

„Gdyśmy już usiedli naokoło ogniska, słyszałem, jak sąsiadka mówiła cichutko do „Kukulki”: „Daj mi jeden znak... ty masz trzy, a ja ani jednego”. „Kukulka” spełnia prośbę bez wahania.—„Prawda”—zwraca się do drużyny—„zuch nie powinien być skąpy?!“.

„Obrzędy „Rozpoczęcia Roku” zajmujące sporo kart w „Księdze Gromady”, rozpoczęły się za chwilę, a na koniec nad gasnącem ogniskiem zjawiała się bogata przepychem barw jesiennych—bajka———“

Organizacja zuchowa daje dzieciom wielkie bogactwo podobnych opisanemu przeżyć. Cudowną właściwością dziecka jest umiejętność całkowitego przejęcia się i radowania chwilą obecną. Celem pracy zuchowej jest danie mu jak najwięcej takich słownych chwil. Nie moralizując—wychowuje. Dziecko bezwiednie podaje się czarowi ciekawych gier, współżycia z naturą, piosnek i—bajek.



M. S.

Z „Pieśniarza” Zuchów krzemienieckich.

MARSZ TRIUMFALNY ZUCHÓW.

Otwórzcie bramy, fanfary głoście,
Gromada Zuchów wali do bram.
Od starej lkw po starym moście
Woła: „Krzemieniec niech żyje nam!”

Kto nie zna Zuchów, niech się napatrzy:
Co za porządek i co za ład.
W szeregu liczą na dwa i na trzy,
Toż będą Zuchy, gdy pójda w świat. (bis).

Raz—dwa, raz—dwa,
Raz—dwa, raz—dwa....

Gdzie dumna Bona nad miastem sterczy,
Liceum wznosi swój sławny gmach,
Góry Dziewicze i góra Czerczy
Na straży stoją wrogom na strach.

Tam w domku cichym mamusia słodka
O swoim Zuchu marzyła znów,
Radośnie Zucha u progu spotka:
„ — Witaj mój Zuchu, dzielny i zdrow!” (bis).

Raz—dwa, raz—dwa,
Raz—dwa, raz—dwa....

K R A K O W I A K.

Albośmy to jacy—tacy, jacy—tacy, jacy tacy,
Dziewczynki, chłopacy, dziewczynki, chłopacy.
Zuchy krakowiacy, zuchy krakowiacy:
Danaż moja dana, piosnko ukochana; (bis).

Rankiem słońce gdy zaświeci, zrywają się zuchy dzieci
I kurteczki i spodeńki,
I spódniczki i sukienki,
I trzewiczki i buciczki
Wkładają, śpiewają zuchowe piosneczki (bis)
Danaż moja dana, piosnko ukochana: (bis)

Pod Wawelem Kraków, pod Krakowem Wisła,
Z gór karpackich przysła, aż do morza wysła.

Na Wołyniu Ikwa o Wawelu gwarzy,
O swoim Słowackim, co w podziemiach marzy.

Raz z Krzemieńca barką harcerze płynęli
Pod opieką Bożą i nauczycieli.*

Zuchy rosnać mają, do morza popłyną,
W Gdańsku zaśpiewają: Zuchy nie zaginą:
Albośmy to jacy—tacy, jacy—tacy i t. d.

K O Z A K.

Krasnoludki z Ukrainy
Tańcowały hopaki,
I od Zuchów na Wołyniu
Pożyczały chodaki.

Hej, Zuchy, bracia Zuchy,
Na nas wy nie krzyczcie,
Macie po dwa czereвики,
„Jedne nam pożyczcie;“

Zuchy jako przyjaciele
Krasnoludkom wierni,
W miśkach niosą chleba wiele,
Mięso na patelni.

Hej, miłe krasnoludki
Jedzą chleb i mięso,
Zapijają wodą smutki,
Brody im się trzęsą.

*) Patrz: „Wodnym szlakiem“ Nasz Widnokrąg rok 1928/29.

Włodan.

KRAJOZNAWSTWO A HARCERSTWO.

(z okazji ostatniej wieczornicy harcerskiej).

Krajoznawstwo i harcerstwo wychodzą prawie, że z tych samych założeń ideowych.

Zasadniczym hasłem krajoznawcy jest: „Poznaj swój kraj i ojczyźnie służ!”, w prawie harcerskiem naczelne miejsca zajmują podobne słowa: „harcerz służy ojczyźnie i dla niej sumiennie spełnia swoje obowiązki”. Logicznem uzupełnieniem tych słów będzie dodatek: którą stara się poznać i ukochać. Jest to aż nadto dla każdego zrozumiałe, że jeżeli się człowiek ma czemuś poświęcić, to musi to najwpierw poznać i przez poznanie ukochać. Dalej czytamy w prawie harcerskiem: „harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać”. Stara się ją poznać właśnie dlatego, żeby umiłować, żeby przejąć się tą swojszczyzną i jej pięknem, kształcić przez poznawanie życia rozwijającego się na bujnej naszej ziemi swą duszę, hartować i ćwiczyć w licznych wycieczkach i zbiórkach swe ciało, powoli od najmłodszych lat przyzwyczajając się do ofiarnej pracy dla ogółu.

To nasz cel! Przyszłość, którą my będziemy budować! Nasze zasady i prawa okażą się mocnemi tylko wtedy, gdy się oprze je mocno o naszą ziemię — fundament życia i wszelkich poczynañ. Teoretyczne gawędzenie o naszych obowiązkach, to nic innego jak rzucać grochem o ścianę aby ją zburzyć. Obowiązki będą spełnione tylko wtedy, kiedy wypłyną ze zrozumienia życia i zasadniczych praw, które nim rządzą. Ze studjów nad życiem w czasie zbiorów i licznych wycieczek wyjdzie na jaw cała rzeczywistość, którą mamy naprawić przez postępowanie i skłanianie innych do postępowania według naszych skutecznych, bo mających dość bogatą tradycję praw. A co to znaczy poznać życie? Nie pozna się jego ani z książek, ani z gazet, jeżeli się nie zwróci do niego samego. Stąd pierwszym warunkiem skuteczności naszej pracy musi być poznanie terenu, na którym mieszkamy, jego wpływów na życie człowieka, wysiłków ludzi

zdążających na danem terytorjum ująć w swe dłonie i podporządkować naturę, nasz stan gospodarczy, nasze życie. Wtedy gdy się pozna rzeczywistość, można dopiero myśleć o jej na prawie, o doborze środków, ich skuteczności i t. p.

Widać z tego, że krajoznawstwo spełnia doniosłą rolę w harcerstwie pojętem jako system wychowawczy i przygotowujący do późniejszego obywatelskiego życia. Stanowi też ono bardzo ważną część zajęć harcerskich.

W próbach organizacyjnych zależnie od stopnia są takie punkty jak: znajomość pewnej ilości roślin i zwierząt, układanie meldunków z szczegółowym uwzględnieniem charakteru krajoznawczego miejscowości, żądanie od kandydata na stopień Harcerza Rzeczypospolitej sprawności „krajoznawcy” i odbycia przynajmniej dwutygodniowego obozu wędrownego.

Są też sprawności harcerskie o ścisłym charakterze krajoznawczym jak: wskazidroga, przewodnik, terenoznawca, roślinoznawca, zwierzoznawca, pionier przemysłu i najglówniejszy krajoznawca.

Harcerstwo, wprowadzając do programu swej pracy krajoznawstwo, popularyzuje go wśród młodzieży, ułatwia jej kształtowanie swych zamiłowań, gromadzi liczne materiały krajoznawcze w kronikach i publikowanych artykułach, popularyzuje arazem wiedzę o kraju zarówno w szeregach swych członków, jak wśród starszych. To mojem zdaniem zupełnie zdrowe i logiczne więzy ruchu naukowego, krajoznawczego i harcerstwa jako systemu wychowawczego.

Czy to wszystko robi się u nas? Miejmy odwagę przyznać się, tego nikt nam nie zarzuci, ale brakuje nam przygotowania, silnej woli, uświadczenia zupełnie wyraźnego i zdecydowanego co mamy robić, jak i poco? O ile ożywiłyby się nasze zbiórki i wieczornice, gdyby je przesycić więcej materiałem miejscowym a zwłaszcza ludowym. Wdzięczne pieśni ludowe, ich inscenizacje, tańce i zabawy to są rzeczy, które powinny wejść do programu naszej pracy i naszych rozrywek.

Nie będzie to żadna inowacja ani też zbędna strata czasu,

lecz konsekwentne przeprowadzenie naszych założeń i naszego programu. Nie wiem czy nie zyskałoby coś na tem zarówno krajoznawstwo jak i harcerstwo, łącząc się bliżej i pomagając sobie w swojej pracy. Warto się nad tem się zastanowić.

..... Ostatnia wieczornica harcerska, która odbyła się 1-go grudnia dla uczczenia druhen składających w tym dniu przyrzeczenie, wykazała daleko większą żywotność i inicjatywę naszego harcerstwa, niż to było w roku ubiegłym.

Okazało się, że nasze druhy mają naprawdę „genjalne” pomysły, wcale niezły smak artystyczny, cięty dowcip Makuszyńskiego i umiejętność tworzenia miłej atmosfery. Wieczór zszedł bardzo wesoło. Śpiewy, przy sztucznem coprawda ognisku, ale dobrze imitującym rzeczywiste i przyjemniejszym, bo bez dymu (komarów przecież tu niema), zabawy, deklamacje, inscenizacje, monologi czy inne temu podobne „hece”, słowem program bardzo obfity i przyjemny, przytem wesołość tryskająca strumieniami z młodych zarumiënionych lic.

Na specjalną aklamację zasłużyła drużna Żesia, za deklamowanie wiersza zupełnie nowoczesnym sposobem, bo na raty, tak jak się na raty kupuje ubranie wtędy, kiedy brakuje gotówki w kieszeni. U drużny Żesi-zabrakło natomiast nie gotówki, lecz suflera. Wiersz zupełnie regionalny, „żeńskie internackie rymy” i wyrażenia tak specjalne, że mimo najlepszych chęci nie mogłem zapamiętać z niego ani wyrazu. Musiał być turystyczny... i pewno będzie opublikowany w „Szczutku czy „Cyruliku”. A może już był gdzie drukowany, bo wyglądał zupełnie jak artykuł i wiersze „N. Widn.” drukowane przez krzemienieckich korektorów i zecerów, purystów i fanatyków czystości palestyńskiego zabarwienia polskiego języka.

Pomysłowo ilustrowana ruchami, przy zmieniającem się oświetleniu pieśń: „A gdy poszedł król na wojnę”, przez druhy pod dowództwem pewnego wysokiego i dzielnego króla, wypadła naprawdę znakomicie.

Ruchu też nie żałowano. Była i karuzela, kotka z myszką i młyny czy wiry, nie znam się dobrze na tych nazwach.

Najważniejszą niespodzianką było zjawienie się „pana nauczyciela” i przeprowadzeniu przez niego dyktatu z uczniami. Nie wymawiał on wprawdzie „r”, trochę zanadto każdy wyraz śpiewał, nie mógł utrzymać należytej powagi gdy audytorjum pokładało się ze śmiechu, ale to nie były żadne wady, tylko narodowe cechy potomka Abrahama, Izaaka i Mojżesza.

Zdumienie ogarnęło mnie, gdy dowiedziałem się, że tym cudownym, etnograficznym typem Semity jest... druhna Stasia.

Słuszne i zasłużone były po tem oklaski.

Umiały więc harcerki obmyśleć naprawdę niespodziewane niespodzianki, zobaczymy teraz czy spodziewane rzeczy robią czy nie? Od tej wieczornicy zacząłem nie wiem dlaczego zawracać ku optymizmowi, więc sędzę, że się teraz nie pomyłę, jeżeli pomyśle, że robią. Druhowie im pomogą!



Z. LII.

NA GRANICY.

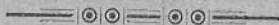
Mijały dnie... I przyszedł znów ostatni
Pieczęcią został znów i pożegnaniem bratniem,
Dłoń włożył w dłoń...

I milkły chwile schodząc w głębi toń,
Stawały się, jak bez użytku broń,
Wiekową rdzą...

I zastąpiwszy twarz znieczoną swą,
Z areny zszedł z melodji smutnej grą
Staruszek Rok...

O, jak ostatni ciężki jego krok!...
Sędziwy mąż zstąpił w mogiły mrok
Nazawsze już.

Nadzieją drżących, z światłem nowych zórz,
Wynurzył się z fal wszechistnienia mórz
Trzydziesty mąż...



Stawit.

Z MINIONYCH DNI.

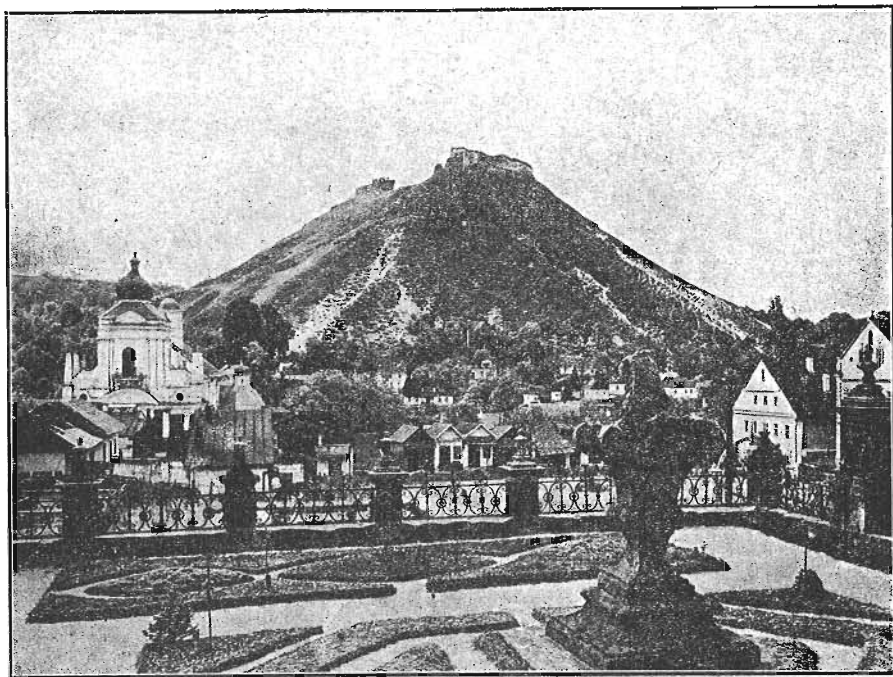
Hen z za widnokregu wychylił się księżyc, stróż nocy i podnosił się coraz wyżej, spozierając jasnym okiem na świat i zaglądając do najmniejszego kąta, jakby chciał całą ziemię zlustrować. Wokół ciemne bezmiary pól, pośród których biegnie długa, jasna szosa, to wznosząc się wyżej, to spadając niżej, prowadząca gdzieś w nieznana nam jeszcze i zamroczoną dal. Gdzieś tam migoce jakieś światelko, pozatem świat cały zdaje się być pograżony w głębokim śnie, skurczony i zziębnięty.

Po jasnej wstędze drogi, biegnącej wśród pól, jedziemy dwoma wózkami, to oddalając się od siebie, to zbliżając się, a wokół rozlega się przeciągłe i nieustanne, ginące w dali „turrrrr“...

Na duszy dziwnie błogo i wesoło. Chwilami przez głowę przesuwają się niejasne wspomnienia i obrazy z minionych lat dzieciństwa, powodując tem większą radość i wesołość, pobudzoną czasem do śmiechu czymś: „Oj, moja wątroba“ „Trzęęssieel“. Jedziemy tak dalej, podnieceni myślą, iż wkrótce ujrzymy owoce działalności swego kolegi, pracującego nad oświeceniem ludu, wraz z zasłużonym na tem polu p. Sjudakiem, kierownikiem szkoły w Turkowiczach.

Przed nami w dolinie niewielka kolonja, dająca znak życia światłami w oknach. Przebiegamy wzrokiem domy... Ot, tam większy, silnie oświetlony, to pewnie szkoła... Ledwie wozy stanęły przed oknem, znalazł się już przy nas były prezes Koła Krajoznawczego, witając nas i zapraszając do swych apartamentów.

Po chwili, gdy wydobyliśmy się z powijków kożuszanych, z palt, szali i swetrów, a serca i wątroby zdążyły powrócić na swe miejsca, gościnni nasi gospodarze zaprosili nas do zastawionych stolików. Trudno się było obronić przed atakami z dwóch stron, bo i żołądki nasze po owej trzesącej jeździe czuły w sobie bezdenną próżnię. I tak wśród rozmów, przeplatanych



Widok z przed kościoła licealnego na górę Królowej Bony.

konceptami, akt pierwszy był skończony.

* * *

W niewielkiej, oświetlonej dwoma lampami izbie szkolnej zasiadła publiczność, przyczem my, jako goście krzemienieccy, zajęliśmy pierwsze miejsce. Druga część sali przybrana za izbę chłopską, służyła za scenę.

Siedzieliśmy, oglądając wzory wyszyć ludowych na ręcznikach, zawieszonych nad obrazami, gdy uszu naszych doszedł głos dzwonka i zaczęła się... właściwa akcja aktu drugiego, na co właśnie przyjechaliśmy.

Z drzwi kurytarza zaczęły wypływać dorodne dziewczęta w pięknych strojach wołyńskich, przekazanych im przez babki i prababki. Za nimi rzeźcy i weseli, pełni temperamentu chłopcy (co do urody, to tu sądu wydać nie mogę, a kto ciekaw, niech się uda do koleżanek po informacje) w białych koszulach, szerokich spodniach, podpasani barwnymi szarfami. Chwila ciszy—i naraz popłynęły piękne melodie prawosławnych kolęd i ruskich piosenek ludowych, przerywane niekiedy oklaskami publiczności.

Lecz program nie ograniczył się tylko do chórów. Najważniejszą atrakcją miała być inscenizacja pieśni. A oto po przerwie wychodzi na scenę czarnobrewa „donia” smutna i niespokojna, wygląda raz po raz przez małe okienko; oczekując swego ukochanego Hrycia, śpiewa tęskną piosenkę. Nagle do izby wpadają chłopcy i dziewczęta i rozpoczyna się wieczornica. Zaczynają wraz z nią śpiewać różne piosenki. Chłopcy weseli rzeźcy przekomarzają się i drocą z dziewczętami, a gdy nagle rozległa się muzyka, różną w przyspieszonym tempie hopaka, puszczają się w wir tańca. Skończyli jeden, zaczynają drugi i tak byłoby bez końca, ale... „północ dochodzi, kury przepiały, czas wracać do domu”.

I znowu w cichej i pustej izbie pozostała sama jedna, jeszcze bardziej smutna, jeszcze bardziej rozkochana „donia”, wiedząc, że Hryć nie kocha, bo nie był nawet do końca z innymi;

wyszedł pierwszy, gdyż na dworze zapewno czekała na niego jego ukochana Hapka (co prawda o wiele ładniejsza od niej). Taka jej dola.

Próżne płkanie i łamanie rąk! Cóż poradzi?

Chwilę waha się... chce wyjść... wraca... znowu zmierzza ku drzwiom... zatrzymuje się... po chwili widocznej rozterki wychodzi prędko, pewnym i stanowczym krokiem; w izbie pusto i głucho. Po chwili wraca. Wyraz twarzy nic dobrego nie wróży! Gesty i mina świadczą o głębokiej rozpacz. Za sceną rozlega się pieśń pogrzebowa. „Za szczo że ty, doniu, Hrycia otruiła? woła zrozpaczona matka. „Nechaj-że sia Hrycio u dwóch ne kochaje!“ odpowiada z tragicznym wyrazem w głosie „donia“.

Grzmot oklasków nagrodił aktorów tego „teatru“. Jakże odmienne to było od naszych „ludowych“ inscenizacyj; tam jest wyćwiczenie, wycieniowanie, ale znać, że to sztuka, tutaj wszystko bardziej prymitywne, ale bezpośredniość i prostota oddziałuje o wiele silniej, wzrusza i sprawia złudzenie rzeczywistości.

Przebrzmiały smutne melodje „Oj ne chody Hryciu“, ustępując miejsca ulubionej ludowi wiejskiemu piosence „Tecze riczka newełyczka“, którą również inscenizowano, ku wielkiej naszej radości.

Na tem skończył się dla nas drugi akt wieczoru.

* * *

Gwar, śmiech, hałaśliwa wesołość napelniły całą salę. Ledwie dosłyszałem głos swego kolegi, który powtarzał mi wprost do ucha „O! to morowe!“.

Staliśmy w kacie, przypatrując się tańczącym wesoło parom, pilnie upatrując sobie ładnej i zgrabnej tancerki. Muzyka grała siarczyście, a bęben swoim potężnym głosem, od którego aż szyby drżały, zagłuszał wszystko, pociągając nas i puszczając w ruch nasze, już skaczące nogi. Staliśmy jeszcze, onieśmieleni i niezdecydowani, gdy wtem usłyszeliśmy dobrze nam znany

głos: „Chodźcie zjeść cokolwiek, a potem pójdziecie tańczyć”. Posłuszni rozkazowi, poszliśmy i zaczęliśmy zajadać w milczeniu kanapki, tylko co kilka minut dawał się słyszeć głos kochanego profesora, który mrużeniem „Kiw, morh na nioho”, przerywał panującą ciszę.

Czas leci, każda chwila droga. Poszliśmy więc do „sali balowej” i nabrawszy odwagi, poczęliśmy zapraszać do tańca mallownio ubrane dziewczęta, a następnie wraz z innymi wywijać i wytupywać skoczne poleczki, walczyki, tańczone trochę na starodawną modę, a nawet ten i ów z nas odważył się stanąć do szalonego hopaka. Wszystkie tańce miały swoisty ludowy charakter. A my, krzemieńczanie, daliśmy się całkowicie porwać nastrojowi i przystosowaliśmy się odrazu do całości, bawiąc się przytem doskonale. Najbardziej uderzyło nas w ten niezwykły wieczór poczucie, że zabawa ta nie ma w sobie nic z ordynarnego rozpasania, a przeciwnie—bardzo dużo wdzięku i poezji. Najbardziej efektownie wyglądała owa izba szkolna, zamieniona w wiejską świetlicę wtedy, gdy 8 par dorodnej młodzieży w ludowych strojach tańczyło starodawny taniec, zwany „kataryna”. Myślę, że my w miejskich strojach musieliśmy dość niezgrabnie wyglądać obok tych rosnących i smukłych mężczyzn, którzy z taką wesołością w smagłych twarzach, z taką naturalną gracją poruszali się w swoich pięknych strojach w tańcach, wymagających gibkości i zwinności.

Duszą całej zabawy był, rzecz prosta „młody kierownik”, jak nazywano naszego dawnego kolegę. On regulował ilość tańczących par, decydując, jacy goście mają kiedy tańczyć, aby nie było tłoku, uważając, żeby każda grupa, starszych czy młodszych bawiła się należycie, on zarządzał przerwy i wybierał tańce wraz z grupką oddanych mu widać całą duszą starszych chłopców, którzy jak w obraz patrzyli w niego, dostrzegali każde zmarszczenie brwi, kiedy mu się coś nie podobało.

Jak dużo może zrobić dzielny i ideowy człowiek wśród naszego ludu, który ma widać wrodzoną kulturę duchową i tylko potrzebuje umiejętnej pomocy inteligenta, aby ta kultura się ujawniła!...

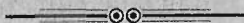
...Kury dawno przepiały, godzina trzecia wybiła, gdy nasz były prezes głosem uroczystym, pełnym powagi i stanowczości ogłosił „Zabawa skińczena!“.

Akt III. sztuki, w której byliśmy bohaterami i widzami, był skończony.

* * *

Księżyc świecił wysoko, noc widna, wszystko pogrążone w głębokim śnie, mgła gęstą warstwą okryła ziemię, wokoła cisza, a wśród tego wszystkiego rozchodziło się znowu takie same jak wczoraj, po tej samej wstęde idące, głośnie i przeciągłe, ginące w dali „turrrrrrr... — — —“.

Odjeżdżaliśmy do Krzemieńca.



Roman Marszałowiez.

ZWYCZAJE ŚWIĄTECZNE BOŻEGO NARODZENIA W OKOLICY GREBOWA, KOŁO TARNOBRZEGA.

Na kilka dni przed Świętami miejscowy organista roznosi ludziom opłatki. Jest to pierwszy zwiastun zbliżających się, a tak oczekiwanych Świąt.

Wigilia Bożego Narodzenia jest już uważana za dzień świąteczny. W dniu tym od samego rana ludzie poszczą. Od południa zaczyna się przygotowanie pośników, t. j. wieczerzy wigilijnej, na którą składają się różne potrawy, ustalone zdawien dawna przez tradycję. Młodszy zatrudnieni są ubieraniem choinki. Ubieranie to musi być zakryte przed okiem małych dzieci, którym się potem mówi, że tak drzewko, jak i podarunki, położone pod niem, pochodzą od aniołka.

Po zachodzie słońca przynosi się do izby wiązkę siana, którą rozściela się na stole. Na sianie, przykrytym białym obrusem, kładzie się opłatki i bułkę.

Oto zabłysła już pierwsza gwiazda. Rodzina, odmówiwszy klęcząco Anioł Pański, zabiera się do jedzenia pośniku, na który zaprasza się często sąsiadów i znajomych. Przy łamaniu się opłatkiem następują życzenia szczęścia.

Świadkiem wieczerzy wigilijnej jest snopek, stojący w kącie izby. Zboże, wymłócone z niego, miesza się później z ziarnem, przeznaczonem do siewu,—ma to zapewnić urodzaj. Wieczerza składa się z kilku dań, zależnie od zamożności gospodarza. Najpierw podawana jest zupa grzybowa, albo barszcz z żyta, poczem następuje kapusta, pierogi ze serem, lub z powidłami, kluski ze serem i z makiem, placki ziemniaczane, pieczone na oleju, wreszcie fasola ze śliwkami. Resztki, pozostałe od potraw daje się po pośniku zwierzętom domowym, dodając do nich po kawałku opłatka z listkami ruty.

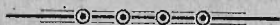
Po pośniku młodszy zabawiają się rzucaniem ździebeł słomy za odstające belki powały. Symbolizuje to narodzenie się Pana Jezusa pod słomianą strzechą, oraz jest wróżbą, a mianowicie: ile ździebeł słomy zatrzyma się u belki, tyle będzie kóp zboża u gospodarza. W ten sam wieczór opasuje się drzewa owocowe powróslami ze słomy, aby lepiej rodziły. O godzinie 12-ej w nocy udają się młodszy na pasterkę.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia nie wolno domownikom odwiedzać znajomych; uważane jest to za grzech, tak samo jak zamykanie izby, co uskutecznia się dopiero nazajutrz, w dzień św. Szczepana. W dniu tym dorosłe dziewczyny starają się raniutko posprzątać izbę, aby nie wyręczył ich w tem jakiś chłopiec, bo wtedy trzeba by się wykupić litrem wódki.

Po nabożeństwie młodzież obsypuje się owsem na pamiątkę ukamienowania św. Szczepana. Ciekawi, chcąc się dowiedzieć o swych przyszłych losach, uzależnionych od urodzaju ziemi—żywicieli, udają się do wróżb. Zaglądają w tym celu pod siano, leżące na stole. Jeżeli znajdzie się pod niem ziarnko zboża, zapowiada to rok urodzajny. Po Świętach zbiera się starannie drobne okruszki siana ze stołu, używane jako lekarstwo, chroniące od „zawiania“ (paraliżu).

Od św. Szczepana do Trzech Króli chodzi młodzież „po kołędzie” z szopką, koniem, albo z kozą. Przechodząc od chaty do chaty, śpiewają kolędy i życzą mieszkańcom szczęścia, za co dostają wynagrodzenie.

W święto Trzech Króli pisze się kredą święconą na drzwiach początkowe litery imion trzech króli, którzy powitali Chrystusa w stajence: K+M+B. Rok Pański..... W dzień Nowego Roku małe dzieci chodzą zrana do znajomych, mówiąc: „Szczodrak, kołaki, powiedzieli nom, jakżeście napiekli, to dajcie nom, a jak nie, to chleba krom” albo też: „Nowe lato, nowe lato—szczodrak za to”. Po tych słowach dostają od gospodarzy „szczodraki”, upieczone specjalnie w tym celu. „Szczodraki” te są pieczone z razowego chleba w kształcie rogała z silnie zagiętymi rogami. Podarunek taki sprawia dzieciom wielką radość, wśród której odchodzą do następnej chaty.



SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA PRACY SPOŁECZNEJ OD 24 LISTOPADA 1929 R. DO DNIA 13 STYCZNIA 1930

Koło Pracy Społecznej założone zostało przez uczniów zeszłorocznego V-go kursu seminarjum w kwietniu 1929 r. Ponieważ zbliżał się egzamin maturalny, członkowie tego Koła nie mogli rozwinąć szerszej działalności. Ograniczyli się tylko do jednej wycieczki, którą urządzili do Bereżec, gdzie dla Koła Młodzieży Wiejskiej urządzili wieczornicę. Natomiast dużo zrobili na polu organizacji wewnętrznej K. P. S., między innymi ułożyli statut, którego paragraf drugi brzmi: „Celem K. P. S. jest praca wychowawcza i samokształceniowa w kierunku przysposobienia społecznego, oraz praktyczne wdrażanie się do pracy przez kontakt z placówkami pracy społecznej, przedewszystkiem na terenie powiatu krzemienieckiego”.

Par. 3. „Do osiągnięcia powyższych celów Koło dąży przez urządzanie zebrań, na których są omawiane referaty z dziedziny nauk społecznych, sprawozdania z przeczytanych książek i czasopism, zapoznanie się z obecnym stanem wsi drogą wy-

cieczek, oraz popieranie prac Kół Młodzieży Wiejskiej przez uczestnictwo i w miarę możliwości, przez organizowanie i urządzanie przez K. P. S. dla Kół Młodzieży przedstawień, wieczornic i odczytów“.

W tym roku szkolnym V-ty kurs seminarjum 24 listopada 1929 r. powołał K. P. S. do życia, zreorganizował i poczynił nowe zapisy członków i wybrał nowy zarząd. Dotychczasowa praca Koła przedstawia się następująco: od 24 listopada do dnia dzisiejszego urządzono w więzieniu tutejszem 9 wieczorów muzycznych, w których brali udział koledzy: Zass, Minkacz, Sandecki, Żaba, Chmielewski, oraz wygłoszono 3 referaty na następujące tematy: „Dzieje Warszawy“ (z przeżyciami) „Powstanie listopadowe“ i „Dzieje Krzemieńca“.

Największą pracę do tej pory miało Koło przy urządzaniu wraz z Patronatem nad więźniami choinki dla więźniów w dniu 6 stycznia. O godz. 4 pp. członkowie Koła mieli próbę śpiewania kołęd z więźniami. Następnie poprawili ubrane przez nich drzewko zabawkami, o które postarało się K. P. S. O godz. 5 pp. do więzienia przyjechał pan Wizytator Dobrowolski z panią profesorką Halińską i dwoma przedstawicielami Patronatu.

Więźniowie odśpiewali cały szereg kołęd w języku polskim, i ruskim, następnie rozdawano więźniom gwiazdkę, na którą składały się pierogi, jabłka i cukierki. Po rozdaniu gwiazdki dwaj członkowie Koła Chmielewski i Minkacz odegrali na skrzypcach szereg pastorałek i kołęd. wieczór ten więźniowie zakończyli hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Co się tyczy pracy oświatowej w K. P. S., narazie wygłoszony został przez Osińskiego jeden odczyt (z przeżyciami) „o Warszawie“ w Kole Młodzieży Wiejskiej, we wsi Wesolówce.

Na większą skalę pracę tę przygotowują powołane do tego dwie sekcje: dramatyczno-rozrywkowa i oświatowa. Członkowie Koła kursu V podstawy teoretyczne pracy społecznej otrzymali na tygodniowym kursie pracy społecznej, prowadzonym przez pana profesora Deca.

Członkiem Koła może być każdy uczeń seminarjum i gim-

nazjum Liceum Krzemienieckiego od Kursu III i od VI klasy wzwyż.

Koło liczy obecnie 55 członków. Rolę opiekuna Koła sprawuje p. dyrektor seminarjum Hilczer.

Do tego czasu odbyły się cztery zebrania: trzy z nich walne i jedno zarządu.

Pierwsze walne zebranie było organizacyjne. Na następnych wybrano zarząd, przeprowadzono zmiany w statucie, oznaczono wkładki członkowskie w wysokości 10 gr. miesięcznie, wygłoszono referat „O idei pracy społecznej” (kol. Mroczyńska), oraz zorganizowano sekcję dramatyczno-rozrywkową i oświatową.



K R O N I K A

3-XII-29 r. Jedną z miłszych chwil w życiu młodzieży seminarjalnej były imieniny p. dyrektora Hilczera, obchodzone bardzo uroczyście przez tutejszą młodzież.

O godzinie 7-ej wiecz. p. dyrektor przyjmował życzenia od p.p. profesorów oraz od przedstawicieli poszczególnych klas.

Kursy II, III i V zorganizowały szereg gier towarzyskich, urozmaiconych niespodziankami. Na szczególną uwagę zasługuje obrazek sceniczny, pantomimiczny przedstawiający życie daltońskie w ujęciu humorystyczno-karykaturalnem. O godzinie 11-ej wieczór „Sto lat” było zakończeniem tej uroczystości ku uczczeniu pracy wychowawczej p. dyrektora nad młodzieżą seminarjalną.

* * *

Dnia 17-go i 19-go grudnia zwiedzali Krzemieniec członkowie Wyższej Szkoły Wojskowej. Powyższą wycieczkę poprowadził oraz służył jej wszelkimi informacjami opiekun Koła Krajoznawczego p. prof. Mączak.

* * *

W dniu 15-XII-29 r. w Liceum Krzemienieckim odbył się Walny Zjazd Kół Młodzieży Wiejskiej pow. krzemienieckiego.

Zjazd rozpoczął się o godz. 9-tej nabożeństwem w kościele licealnym i soborze prawosławnym. Obradom przewodniczył na zaproszenie Prezesa Zarządu Instruktoratu p. Wizytatora Juliusza Poniatowskiego, poseł Ignacy Puławski. Zjazd liczył około 200 osób.

Rolę gospodarzy w czasie Zjazdu wzięło na siebie Koło Pracy Społecznej młodzieży licealnej.

* * *

W dniu 19-XII-29 r. staraniem kursu V-go P. S. M. odbyła się akademja ku uczczeniu pamięci wielkiego muzyka polskiego Fr. Chopina. Na program wieczoru złożyły się referaty (I. Życiorys Chopina, II. Charakter twórczości Chopina), popisy muzyczne, deklamacje, śpiew i taniec plastyczny ilustrujący „Marzenie” Chopina. Akademję zaszczyli swą obecnością członkowie Wyższej Szkoły Wojskowej z Warszawy.

* * *

W dniu 19-I-30 r. Koło Pedagogiczne młodzieży seminarjalnej pod kierownictwem p. dyrektora Hilczera i p. profesorki pedagogiki p. Kundlanki wyjechało do Lwowa, w celu zwiedzenia zakładów dla niewidomych, głucho-niemych i niedorozwiniętych dzieci.

Blizsze szczegóły o wycieczce podane będą w następnym numerze N. W.

Z NASZEGO TEATRU.

W bieżącym roku szkolnym nie można się już skarżyć na zastój w naszym teatrze szkolnym. Święta narodowe i uroczystości szkolne urozmaicane bywają produkcjami naszych „artystów” odtwarzających zarówno fragmenty z wielkiego repertuaru („Noc listopadowa”), jak i drobne kwiatki twórczości ludowej (insceni-

zacja piosenek), a nawet i własnej (Obrazek z życia „Daltonistów“).

Nadto p. Kunicka, kierowniczką naszego teatru szkolnego, jest w toku realizowania kilku ciekawych pomysłów.

Obecnie mamy do zanotowania większą imprezę, z którą wystąpiły: kurs III-ci i I-szy Seminarjum. Odegrano „Betleem polskie“ Rydla (30 stycznia i 2 lutego). Oryginalna kompozycja utworu, piękne dekoracje (potraktowane prymitywnie) i dobra gra wykonawców — stworzyły całość, która wyróżniała się korzystnie od rozmaitych „Jasełek“, wykonywanych najczęściej szablonowo i bezmyślnie.

Że sztuka była udana, świadczy fakt iż te prymitywne sceny naprawdę wzruszały publiczność. Największe wrażenie wywarł końcowy obraz adoracji, w którym występowało kilkadziesiąt osób.

Ile pracy musiała pochłonąć ta impreza, zanim doprowadzono ją do takiego wykończenia!...

Widz.

PRENUMERUJCIĘ I ROZPOWSZECHNIJCIĘ
„ORLI LOT“

BARDZO ZAJMUJĄCY, BOGATO ILUSTROWANY
MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY MŁODZIEŻY.

PRENUMERATA ROCZNA 5 ZŁ.

— ADRES ADMINISTRACJI: —

KRAKÓW — DĘBNIKI, BARSKA 41, KSIĘGARNIA „ORBIS“

— PRENUMERATĘ MOŻNA UŚCIĆ —

TAKŻE PRZEZ ZARZĄD NASZEGO KOŁA KRAJOZNAWCZEGO.



Na Sądzie Ostatecznym.

— Za twą pracę, trud i znoje,
Masz tu dwójkę dziecko moje. —



CENA ZESZYTU 80 GR. DLA MŁODZIEŻY 40 GR.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera
Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Wydawca: Koło Krajoznawcze D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum
Krzemieńskiego, pozostające pod opieką prof. Franciszka Mączaka.

Redaktor naczelny: ANTONI KLUKOWSKI.
